



E W A
K A S P R Z Y K

ŻYCIE PRZESZŁOŚCIĄ PROWADZI DO TYCIA

Zadbajcie o siebie! Niech wam się nie
zdaje, że wasze życie się zmieni, kiedy
poznacie jakiegoś mężczyznę. Oczywiście,
że się zmieni, ale nigdy nie wiadomo,
czy na lepsze

z aktorką EWĄ KSPRZYK rozmawia DOROTA WODECKA

Co pani tą dekadą zaczęła?

– Po 17 latach pracy rozstałam się z etatem w Teatrze Kwadrat i „teraz, Marian, będę żyła jakby luksusowo”, że posłużę się cytatem.

Kultowym. Z „Kogla-mogla”.

– I oby proroczym! Rozpoczęłam nowy etap życia, burząc swoje poczucie bezpieczeństwa.

Nie po raz pierwszy.

– Taka karma. 18 lat temu zostawiłam Teatr Wybrzeże i przenieśliśmy się do Warszawy. Nigdy nie żałowałam, ale ostatnio poczułam, że tkwię w artystycznej klatce. Potrzebuję teraz czegoś innego, dobrej literatury, tego, co mnie jeszcze zbuduje i poszerzy mi horyzont, wymagając ode mnie sięgnięcia po nieznane mi emocje. Po prostu dojrzałam w tym, co robię, pewną powtarzalność. Pomyślałam, że albo nadal będę konformistką korzystającą z przywilejów, jakie daje etat, i podporządkuję się wizji artystycznej, nie zawsze zgodnej z moim poczuciem estetyki, albo idę własną drogą. Wybrałam. Nadszedł czas na zaczynanie od nowa.

Ile razy można?

– Ile tylko się da.

Wbrew nudzie?

– Też. Ale i bez kalkulowania, że koniecznie trzeba. Po prostu doświadczenia nabywane z każdym rokiem mnie akurat zmuszają do zmian.

A co ze zmęczeniem?

– Ruch dodaje mi sił. Jestem w pędzie. Nawet kiedy mam wolny dzień, to wydaje mi się, że nie zdążę wszystkiego zrobić.

Każda dekada to przyspieszenie?

– Przyspieszyłam po pięćdziesiątce. W relacjach międzyludzkich słyszałam raczej z dystansu, ale zdałam sobie sprawę, że za mną jest najmniej połowa życia i trzeba pozwolić sobie na odpięcie gorsetu. Poczułam, że mogę się na to odważyć, bo i poczułam w sobie siłę. Wiedząc, że czas się kurczy, postanowiłam, że będę żyć dwa razy mocniej i szybciej. Będę się spotykać z ludźmi, czytać książki, których do tej pory nie przeczytałam, mówić bliskim coś ważnego, czego im dotąd nie mówiłam, podróżować, spełniać marzenia, podejmować odważniejsze wyzwania artystyczne.

Mówi pani o potrzebie naprawiania relacji?

– Raczej o świadomym życiu. Zaczęłam samą siebie nagradzać, bo skoro przeżyłam już tak dużo, to coś mi się od tego życia należy.

»

Nagradzanie siebie to jest wielka życiowa umiejętność, prawda?

– Tak, ale do tego potrzebna jest akceptacja samej siebie. Ja po pięćdziesiątce przestałam żyć do tyłu. Wcześniej grzebałam w przeszłości i uprawiałam gdybologię. Czy dobrze zrobiłam to czy tamto, czy dobrze spędziłam te lata, czy źle, że zrezygnowałam z czegoś, czy warto było pójść za tym? A przecież to, co się stało, jest nieodwracalne. Poza tym „życie przeszłością prowadzi do tycia”, jak mówi żartobliwie szczupła jak gazela Cher w drugiej części musicalu „Mamma Mia!”.

Na szczęście znalazłam metodę, która uwalnia duszę od złych zaszczości.

Jaką?

– Ho’oponopono. Praktykowałam ją na warsztatach w grupie ludzi, którzy też nie potrafili się uporać z niektórymi faktami ze swojej przeszłości i uporczywie do niej wracali. Był z nami mężczyzna, który przeżył wypadek samochodowy, w którym zginęło jego dziecko. Żona rozpamiętywała tę tragedię nieustająco i jej organizm zastruty przez myśli o śmierci został zaatakowany przez wszystkie możliwe choroby. On zaś dzięki ho’oponopono wyzwolił się z wracania do przeszłości i przestał w końcu obwiniać siebie o tę śmierć.

Na czym polega ta praktyka?

– W bardzo dużym uproszczeniu: pleciesz dla siebie bransoletkę z miękkiej trzciny i w trakcie tej czynności mantrujesz: „Nie chcę już więcej, żeby ta osoba była w moim otoczeniu, nie chcę więcej wchodzić w relacje z tą osobą, nie chcę dłużej myśleć o niej”. Nosisz tę bransoletkę tak długo, aż poczujesz, że jesteś gotowa się uwolnić. Mnie to zajęło około tygodnia. Bo oczywiście pojawiła się we mnie emocja, że ja jednak chcę nadal tkwić w tej relacji, pławić się w swoim smutku i nie ucinać jej, bo w nieodwracalny sposób pozbawię się czegoś, co było częścią mego życia.

I co? Zadziałało?

– Zadziałało. I do dziś uważam, że symboliczne wyrzucenie tej bransoletki do morza było jedną z lepszych rzeczy w moim życiu, bo poczułam się wolna. Praktykuję ho’oponopono do dziś.

Gest wyrzucenia poprzedzony był oczywiście pracą w głowie, bo to, co w niej siedzi, napędza nasze życie. Przyciągasz to, o czym myślisz. Byłam w próbach do „Kto się boi Virginii Woolf”, kiedy się dowiedziałam, że mam guza w nodze. Profesor Jarosław Czubak, do którego przyszłam, powiedział, że jestem ostatnią osobą, której by się spodziewał w swoim gabinecie. Byłam akurat po „Tańcu z gwiazdami” i weszłam do niego sprężystym krokiem, w butach na wysokich obcasach. Operował mnie przed świętami. Koledzy łapali się za głowę, że nie będzie premiery, bo to przecież poważna operacja. Ale wróciłam do teatru po dwóch tygodniach. Na zdjęcie szwów poszłam w szpilkach. Przez półtora roku przeszłam trzy operacje i ani przez moment nie pomyślałam, że jestem out, Kasprzyk to już koniec, nie dasz rady wrócić do formy. Mimo że nagle poczułam się wykluczona swoją niepełnosprawnością i musiałam korzystać z usprawnień dla niepełnosprawnych, to w głowie zbierałam się do tego, że zrobię coś, czym znowu udowodnię, że mogę tańczyć i śpiewać. I zrobiłam spektakl o Dalidzie, w którym hulam po scenie wraz z czterema zabójczo przystojnymi, młodymi i uzdolnionymi tancerzami. I to jest moja siła i moje zwycięstwo.

Moja koleżanka po podobnej operacji jak moja popełniła samobójstwo. Uznała, że skoro nie będzie mogła być alpinistką, to jej życie się skończyło. A ja wciąż widzę życie przed sobą. I nawet mam nadzieję, że wrócę do boksu.

Dlaczego panią pociąga? Jest brutalny.

– Nie lubię siłowni, a boks to siłownia w pigułce – wyrabia szybkość, sprawność, gibkość. I uwalnia dużo złych emocji.

Rozumiem to uwalnianie na worku treningowym, ale z drugą osobą?

– Nie sparingowałam dużo, więcej czasu poświęcałam na trening. Brałam udział w charytatywnej walce z Iwoną Guzowską, ale już na walki w klatkach się nie zgodziłam. Za duży hardcore. Za namową mojego trenera pojechałam do Tajlandii trenować tajski boks, bo skoro się powiedziało A, trzeba powiedzieć B. Spędziłyśmy tam z córką miesiąc, który okazał się totalnym uwolnieniem dla psychiki i ciała. Czułam się fantastycznie, bo okazało się, że po pięćdziesiątce poznałam siebie z innej strony. Byłam szczęśliwa, że wciąż stać mnie na przekroczenia siebie. Z każdego wyjazdu dobrze jest wrócić z odpowiedzią, po co się pojechało. I tu odpowiedź była prosta.

Jaka?

– W tej podróży uwierzyłam w siebie. W to, że jestem silna, że dużo mogę, że wszystko mogę.

JEŚLI W PROGRAMIE
„DOBRENOCKI” ROZMAWIAM
Z SEKSUOLOGAMI
O OPERACJI PUNKTU G,
TO NIE ZNACZY,
ŻE JĄ PRZESZŁAM

Ta wiara w siebie pozwoliła mi wrócić do sprawności. Przydało mi się to doświadczenie, bo za moment będę robiła film o tematyce bokserskiej.

Czasami, kiedy nie mam już siły i czuję, że mnie przerasta ciągły napływ rzeczy do zrobienia, myślę: „Boże, czemu nie rzucić wszystkiego i nie wyjechać do Tajlandii?”. Tylko z moim ADHD twórczym niedługo bym tam wytrzymała. Jestem uzależniona od działania i grania.

Bo to pozwala pani ukryć swój smutek?

– Być może taki styl życia pozwala się z nim uporać, a przynajmniej go zamaskować. Już jako dziewczyna byłam pesymistycznie i nihilistycznie nastawiona do świata. Czarnowidztwo było moją specjalnością, rozczytywanie się w Stachurze, Baudelaire. „Kwiaty zła” i czarna rozpacz. Udało mi się to przepracować, ale przecież człowiekowi charakter nie zmienia się radykalnie.

Jestem bardzo otwarta na ludzi, ale lubię chodzić swoimi ścieżkami. I odczuwam w sobie pociąg do osób balansujących na krawędzi.

Gdzie pani ich spotyka?

– Wszędzie. Jest ich mnóstwo, dziwnie do mnie lgną i zwierają się ze swojego pokiereszowanego życia.

Podejrzewam, że w pani zawodzie bardziej przydają się doły niż euforie.

– Zawodowo doły są bardzo wskazane, ale w życiu wolę jednak euforię. Negatywne przeżycia tylko pogłębiają naszą zdolność do empatii, choć bywa ona niekiedy bardzo trudna. Kiedy przez dwa miesiące przygotowywałam się do roli Dalidy, bałam się, że pokona mnie jej smutek. W końcu nazywana była „divą smutku”.

Trzech byłych jej mężczyzn popełniło samobójstwo, a w końcu i ona odebrała sobie życie.

– Marzyła o miłości, rodzinie, zwyczajnym domu, a ludzie zafundowali jej kariery, pieniędzy i urody. Ci, którzy nie egzystują w grupach, bo nie chcą być mierzeni jej miarą, siłą rzeczy skazani są na samotność. Amy Winehouse, Whitney Houston, Michael Jackson, Prince. Samotność na szczycie, ucieczka w barbiturany, narkotyki i wielki smutek.

Zastanawiam się nad zamknięciem na dziesięć dni w odosobnieniu.

Na vipassanie?

– Tak. Może to jest dobry sposób na przepracowanie siebie, swojego smutku. Chociaż może to nie jest smutek? Może po prostu refleksja, dokąd to wszystko zmierza... Mam świadomość, że nagle wszystko się może zawalić. Przecież to jest moment, pstryk – jak zgaszenie lampy. Ale nie mówmy o tym.

Pani babcia mówiła, że nie ma dnia, żeby nie myślała o swojej zmarłej mamie.

– Mam to samo. Mam zresztą w domu coś w rodzaju ołtarzyka pamięci ze zdjęciami rodziców. Palę na nim świeczki, wspominam. Czasem płaczę.

Moja mama była trochę smutna i zdystansowana, w przeciwieństwie do ojca, który był baaardzo towarzyski. Był dyrektorem szkoły. Kochały się w nim wszystkie pielęgniarki i nauczycielki. Po nim mam trochę urwisowski charakter, by nie przyjmować się specjalnie życiem, tylko żyć. Był jedynym mężczyzną w życiu mamy, zresztą jej nauczycielem. Miała 18 lat, kiedy za niego wyszła. Dla niej poświęcenie się dla rodziny było najważniejszym zadaniem w życiu. Długo nie mogłam się po jej śmierci pozbierać. Najgorsze jest, że nagle nie możesz zadzwonić i poskarżyć się matce.

Rozumiem.

– Ale dzwoniłam. Chciałam po prostu usłyszeć jej głos. Kiedy umarł tato, to dzwoniłam także do niego, by posłuchać, jak mówi o zostawieniu wiadomości na automatycznej sekretarce.

Nagrywała się pani?

– Wiele razy. Bo jak nagle przestać dzwonić, kiedy dzwoniło się codziennie? Opowiadałam o tym, co się wydarzyło, co będę robić. I potem nagle koniec, nie ma. Śmierć dziecka czy śmierć matki zrywa więzy, które są ponad wszystkim. Nie wiem, czy z kimkolwiek jest się w stanie osiągnąć taką bliskość. Do dziś mam w kontaktach numer i ojca, i mamy. Jakoś nie chciał się wykasować...

W „Bellissimie” gra pani matkę dorastającej i pięknej córki. Kobieta, która niebawem umrze. Chwytając się życia. I kiedy czytam, że w tym czasie umierała pani mama, zastanawiam się, jak pani w ogóle radziła sobie w takiej dwoistej sytuacji?

– To rzeczywiście było surrealistyczne i bolesne. Miałam na głowie burzę doczepionych loków, niczym Violetta Villas, których nie mogłam zdejmować. I po zdjęciach, które kręciłam w szpitalu, wsia-dałam do samolotu i w pełnej charakterystyce leciałam do Stargardu do szpitala do mamy. Była już wtedy na morfinie. Strasznie chuda i słaba. Brałam ją na ręce...

Była piękną kobietą. Wspaniałą, dobrą matką. Z trojgiem mojego rodzeństwa mieliśmy cudowny wielopokoleniowy dom. Marzyłam, że uda mi się taki stworzyć, ale życie zweryfikowało te marzenia. Moja córka chodzi własną drogą, a mój model życia sam się stworzył.

300 kilometrów odległości to sposób na trwały związek. To pani słowa.

– Czyli to działa. Nadal jestem mężatką. Nie zostałam rozwódką mimo tych 300 kilometrów od 18 lat.

Dlaczego pani nie chce? To jakiś stygmat?

– Kobiety wychodzą za męża, bo się zakochują, a kiedy się odkochują, to się rozwodzą i często znajdują sobie drugiego męża, podobnego do poprzedniego. Mnie wystarczy jeden.

Śmieje się pani teraz.

– Nie wiem, może powielam jakiś wdrukowany po rodzicach schemat.

Na czym polega wsparcie tak oddalonych małżonków?

– W momentach trudnych możemy zawsze na siebie liczyć. To najważniejsze, prawda? Poza tym moje łóżko jest moim łóżkiem. Ja nigdy nikogo nie pytam, kto z kim śpi i dlaczego.

Jednak buduje pani swój wizerunek metodą wkładania kija w mrowisko.

– Nie, ja go nie buduję. Tylko ludzie, głównie media, przenoszą mój wizerunek sceniczny do rzeczywistości. To, że podejmuję w mediach albo na scenie tematy kontrowersyjne dotyczące seksualności, gender, związków, starości, nie znaczy, że opowiadam o swoim doświadczeniu. Jeśli w programie „Dobrenocki” rozmawiam z seksuologami o operacji punktu G, to nie znaczy, że ją przeszedłam. A dzwoni potem do mnie z dziesięć koleżanek i pytają, gdzie się te operacje robi, a ja nie mam pojęcia.

Czytam o sobie, że Ewa Kasprzyk pokazała w „Tańcu z gwiazdami” tyłek, Ewa Kasprzyk przeży biust na ścianie, Ewa Kasprzyk ma młodszego kochanka, Ewa Kasprzyk powiększyła sobie punkt G. Czasami idę do sądu i wygrywam sprawy, ale głównie wtedy, gdy jakiś dziennikarz narusza dobre imię moje lub mojej rodziny.

Cóż, mam wizerunek taki, jaki mam, niewiele ma on ze mną wspólnego, ale tak jak powiedziałam w wywiadzie dla „Wprost”, wolę się kojarzyć z seksem niż z geriatrią.

To swoją drogą dość misyjny wizerunek.

– Też to do mnie dotarło. Szczególnie po telefonie od jednej pani, która powiedziała mi, że chciałaby założyć firmę promującą dziesięć rzeczy, które powinna mieć kobieta à la Ewa Kasprzyk. Oczywiście biorę to dopiero pod rozwagę. Na pewno pokazuję kobietom, że nie trzeba się wstydzić swojego ciała, swojej cielesności bez względu na to, czy się jest grubym, chudym, chorym, czy nieśmiałym. Może trzeba trochę przekraczać siebie?

Skąd brać odwagę?

– Chyba wynosi się ją z domu. Mój ojciec całe życie powtarzał mi: „Nie bądź przeciętna”. Nie chciał dla mnie życia, jakie wiodą zwykli zjadacze chleba. Dlatego dopingował mnie do bycia nieprzeciętną, co się zwykle wiąże z życiem burzliwym, ale ciekawym. »

Co w nim jest ważne?

– Upór? Intuicja? Czterokrotnie zdawałam do szkoły teatralnej, bo czułam, że aktorstwo to jest moja pasja. Mama mówiła mi wprawdzie, że aktorka musi być ładna i zgrabna, ale ona wyobrażała sobie, że aktorki to są tylko takie, jakie widziała w telewizji. Babcia uszyła mi na egzamin sukienkę w grochy z białym kołnierzykiem. Dostałam na egzaminie cztery dwójki. Ale kiedy zobaczyłam w komisji tych wszystkich wielkich aktorów – Andrzeja Łapickiego i znudzonego Wojciecha Siemiona, to straciłam pewność siebie. Z Andrzejem Łapickim spotkałam się potem na planie „Dziewcząt z Nowolipek”. Pytał reżyserkę Barbarę Sass, skąd wzięła taką wspańiałą dziewczynę.

Po tym debiucie dostałam mnóstwo propozycji, ale uznałam, że chcę urodzić dziecko. Z jednej strony miałam w sobie niepokój, że wypadnę z obiegu, a z drugiej pewność, że w tym momencie moja córka jest dla mnie najważniejsza. Bywało, że wydawało mi się, iż to koniec, Kasprzyk się skończyła, ale wtedy najczęściej wyjeżdżałam, resetowałam głowę, a po powrocie okazywało się, że moje czarownictwo się nie sprawdziło.

W LUSTRZE WIDZĘ CORAZ MNIEJ, CO UWAŻAM ZA JEDNĄ ZE ZDOBYCZY STARZENIA SIĘ. NIE MAM ZMARSZCZEK, BO ICH NIE WIDZĘ

Kobiety 50 plus bywają przezroczyście.

– Nie wiem, dlaczego my sobie to robimy.

My?

– My same spychamy się na margines. Oczywiście nie wszystkie. Ale kiedy dzieci są odchowane, z mężem jest, jak jest, to wymyślamy sobie niańczenie wnuków, ogródki działkowe i wystawianie w kolejkach do lekarza. Każdy naturalnie jest uwarunkowany swoją pozycją społeczną i tym, na ile może sobie pozwolić, ale na obozie jogi spotkałam się z kobietami, które wcale nie są artystkami, nie są milionerkami, ale zapieprzają te asany, aż miło popatrzeć. Ćwiczą regularnie i dają im to zadowolenie. Jeżeli w moim życiu by się okazało, że nie mogę się zajmować sportem ani aktorstwem, to ja się nauczę, kurwa, haftować artystycznie. I będę zajmować się czymś, co będzie moją pasją.

To jest klucz do szczęścia?

– Tak sądzę. Kiedy byłam na kongresie kobiet, odniosłam wrażenie, że kobiety, z którymi rozmawiałam, chciały się ode mnie dowiedzieć, jak żyć, by być szczęśliwą. Miały nadzieję, że nasze spotkanie odmieni ich życie. Oby tak było.

Dlaczego w ogóle tak myślą?

– Na tej samej zasadzie jak każde spotkanie z innym człowiekiem może coś w naszym życiu zmienić. Moje też może być dro-

gowskazem dla kobiet, poradą, nie wiem, może pocieszeniem w trudnym momencie. Ale jeżeli ja im powiem, że bywało mi w życiu ciężko, ale wierzyłam, że mogę się spod tego ciężaru wygrzebać, to i one uwierzą, że trudna karma nie zdarza się tylko im. Bo ludzie nas, aktorów, bardzo idealizują. Znają nas z okładek magazynów, z ekranu kinowego albo z telewizji i myślą, że nie wiadomo jakie mamy to życie. I dopiero kiedy staje się ze sobą face to face i burzy barierę typu ekran czy rampa teatralna, to można się szczerze porozumieć.

I co pani mówi tym kobietom?

– Żeby przestały się tak bardzo martwić o mężczyzn. Oni sobie dadzą radę. Mówię im: „Martwcie się o siebie. Zadbajcie o siebie. Niech wam się nie zdaje, że wasze życie się zmieni, kiedy poznacie jakiegoś mężczyznę. Oczywiście, że się zmieni, ale nigdy nie wiadomo, czy na lepsze. Rozwijajcie swoją potrzebę realizacji. Nie mam na myśli biegania do kosmetyczek i wstrzykiwania sobie botoksu, tylko poświęcanie czasu sobie. Choćby i na to, żeby nic nie robić. I wyjdźcie z kieratu i przekonania, że cokolwiek musicie, bo jeśli będziecie o tym myślały, to nic tylko umierać”.

I przestańcie rozmyślać o swoim wieku. Ja tego nie robię, chociaż media i reklamy uporczywie starają mi się przypominać, że jestem po drugiej stronie. Nie znoszę babrania się w tematach o nietrzymaniu moczu, miedlenia o menopauzie czy wysłuchiwanie o corega tabs. Może mam w sobie niechęć do rzeczy, które się kojarzą z fizjologią i niedoskonałościami życia dorosłego? Widziała pani „Pozycję obowiązkową?”.

Film o kobietach w okolicach najmniej sześćdziesiątki rozczytujących się w „Twarzach Greya” i próbujących ożywić swoje życie erotyczne i uczuciowe?

– Tak. Świetnie mi ten film zrobił, nie tylko z powodu Diane Keaton i Jane Fondy. One bawią się swoją dojrzałością, seksualnością i jeszcze ciągle mają ochotę na przygody. W Polsce takie podejście do życia długo jeszcze się nie przebije, bo żyjemy w czasie skostniałego mózgowo średniowiecza. U nas podobnego przełomu dokonuje Ula Dudziak, która mówi o swoim przyszłym ślubie w wieku 75 lat. O budowaniu domu i zaczynaniu od nowa. O tym, że mężczyzna jest cudowny i wspańiały, a spotkała go grubo po sześćdziesiątce. Czyli przede mną wszystko, co najlepsze.

Naprawdę nie myśli pani o swoim wieku?

– Nie. Ale kiedy spotykam swoich rówieśników, to myślę: „O Boże, jak oni się postarzel”. Oczywiście sądzę, że oni mają to samo przekonanie względem mnie.

Nie widzi pani w lustrze?

– W lustrze widzę coraz mniej, co uważam za jedną ze zdobyczy starzenia się. Nie mam zmarszczek, bo ich nie widzę.

A inne korzyści pani dostrzega?

– Całe mnóstwo. Kiedyś sądziłam, że z każdą dekadą coś się nieodwołalnie kończy, ale dziś czuję, że się zaczyna. I nie myślę z trwogą o następnej dekadzie, bo może uda mi się bezboleśnie w nią wejść. Ja nigdy nie celebruję urodzin. Wypadają 1 stycznia, więc po sylwestrze wszyscy są skacowani i nikt nie ma siły na celebrację. Palę i gaszę świece na torcie i bawimy się dalej.

Tego dnia urodziła się Mieczysława Ćwiklińska, wielka aktorka. Mój mąż się śmieje, że to jakiś znak i niechybnie skończę jak ona. Zmarła na scenie, grając w sztuce „Drzewa umierają stojąc”. ●

EWA KASPRZYK

- (ur. w 1957 r.), aktorka
filmowa i teatralna

